Rozmaitości

DNIA 29. LISTOPADA Ner 48. 1834 ROKU.

CLAUDE GUEUX.

HISTORYJA KRYMINALNA FRANCUZKA.

Z pism Wiktora Hugo.

(Dokończenie.)

Nadszedł dzień 4go listopada. Dnia tego był Claude weselszy, jak zwykle, i nie widziano go jeszcze tak dobréj myśli od owego dnia, kiedy rozkaz dyrektora rozłączył go z przyjacielem. Wstawszy szukał czegoś w skrzynce drewnianéj, stojącéj pod jego łóżkiem, i zawiérającéj ubogie jego ruchomości. Wyjął ze skrzynki nożyczki. Nożyczki te i tom jeden *Emila* przez Rousseau, byłoto wszystko, co zostało mu po kobiécie, którą kochał, po matce jego dziécięcia, po dawném małém gospodarstwie jego. Dwie rzeczy niepotrzebne wcale dla Claudego; bo małe nożyczki zdać się tylko mogły kobiécie, książka zaś temu, który czytać umié, ale Claude nie umiał ani szyć, ani czytać. Idąc przez korytarz starego klasztoru, zbliżył się do więźnia Ferrarego, który bacznie przypatrywał się ogromnym kratom żelaznym u okna. Trzymał nożyczki w ręku, pokazał je Ferraremu i rzekł: »Témi oto nożyczkami przetnę dzisiaj wieczorem te kraty.« Ferrari zaczął się śmiać; Claude śmiał się także. Z rana dnia tego pracował pilniéj, jak zwyczajnie. Nigdy nie szło mu wszystko tak dobrze i tak prędko z pod ręki. Zajmowało go to bardzo, ażeby z rana jeszcze skończył kapelusz słomiany, za który mu naprzód zapłacił obywatel z Troyes, pan Bressier. Przed samém południem udał się pod jakimś pozorem do znajdującéj się na dole pracowni stolarzów. Claudego, jak wszędzie, tak i tam lubiono, ale rzadko tam chodził. »Patrzcie! Claude!« wołano gdy wszedł. Wszyscy przyjaźnie wyszli na przeciw niemu. Claude rzucił szybkim wzrokiem po sali. Nie było żadnego dozorcy. »Kto z was pożyczy mi topora?« — »Co będziesz nim robił?« pytano go. Odpowiedział krótko: »Dzisiaj wieczorem zabiję dyrektora.« Podano mu kilka toporów. Wybrał najmniejszy, ale najostrzéjszy, schował do spodni i odszedł. Było przy tém 27 więźniów. Nie zalecił im milczenia, a jednak żaden go nie zdradził. Nie mówili nawet między sobą o tém zdarzeniu; oczekiwano, co z tego będzie. Byłto zamysł okropny; lecz nikt nie śmiał radzić Claudemu, lub wydać myśl jego. W godzinę potém przystąpił Claude do pewnego 16letniego więźnia, który, ziewając, chodził po korytarzach. Radził mu, ażeby uczył się czytać. W téj chwili zbliżył się ku niemu więzień Faillette i zapytał go, co niesie ukrytego przy sobie? »Topor,« odpowiedział Claude, »którym dzisiejszego wieczora dyrektora zabić zamyślam. Czy widać?« — »Trochę,« odrzekł Faillette. Reszta dnia upłynęła, jak zwyczajnie. O siódméj godzinie pozamykano więźniów, każdy oddział do osobnéj pracowni, a dozorcy, jak bywało zwyczajem, opuścili sale, mając dopiéro powrócić po przeglądzie dyrektora. Claude także, równie jak inni, zamknięty był w osobnéj sali z swoimi towarzyszami rzemiosła. I stała się tam nadzwyczajna scena! Jak czynione poźniéj śledztwa sądowe okazały, było tam razem z Claudem 82 złodziei. Gdy dozorcy odeszli, stanął Claude na ławce i oświadczył, że ma coś do powiedzenia. Wszyscy zamilkli. Claude zabrał głos i rzekł:

»Wiadomo wam wszystkim, że Albin był moim bratem. Jadło, które tu dostaję, nie

wystarcza dla mnie. Gdybym za tę odrobinę pieniędzy, którą zarobić jestem w stanie, samego tylko chleba kupował, jeszczebyto dla mnie nie było dosyć. Albin dzielił się ze mną porcyją swoją; z początku lubiłem go za to, że mię żywił, a potém, że mnie lubił na wzajem. Dyrektor rozdzielił nas. A jednak nicby mu to było nie szkodziło, gdybyśmy byli razem pozostali. Lecz jestto złośliwy człowiek, dla którego radością jest dręczyć innych. Tylokrotnie błagałem go o powrót Albina. Wszakże to widzieliście sami; ale on nie chciał zezwolić. Dałem mu czas do 4. listopada, ażeby mi Albina oddał. On, ponieważ mu to wypominałem, zamknąć mię za to kazał. Ja zaś przez czas ten sądziłem go i podług aktów skazałem na śmierć. Dzisiaj jest czwarty listopada. Za dwie godziny odbywać on będzie swój zwyczajny przegląd. Mówię wam naprzód, że go zabiję. Czy ma kto co przeciw temu do powiedzenia?« — Wszyscy milczeli; a Claude mówił dalej. Wyrażał się, jak się zdawało, z nadzwyczajną, jemu z resztą właściwą wymową. Oświadczył, że wié o tém dobrze, iż ma zamiar popełnić czyn gwałtowny, lecz nie sądzi, ażeby miał niesłuszność. Świadczył się uczuciem 81 złodziejów, do których przemawiał. Twierdził, że jest do ostateczności przyprowadzony; jednak gdy kto jaki zarzut ma mu przeciw temu do uczynienia, gotów chętnie go słuchać. Jeden tylko więzień odezwał się i radził, ażeby Claude, nim dyrektora zabije, raz jeszcze ostatni doświadczył przemówić do niego, a czéj zmiękczy się twarde jego serce. »Nic słuszniéjszego!« rzecze Claude. »Zrobię to.« Wybiła ósma na wielkim zégarze. Dyrektor miał nadejść o dziewiątéj. Zaledwo ten dziwny sąd kasacyjny potwierdził niejako wydany wyrok, był Claude znowu tak wesoły, jak wprzódy. Co miał z bielizny i sukień złożył na stole, towarzyszów swoich, których najwięcéj po Albinie lubił, przywołał jednego po drugim i rozdzielił między nich te ruchomości swoje. Sobie zostawił tylko nożyczki swéj kochanki. Potém uściskał wszystkich. Niektórzy płakali — do tych uśmiéchał się mile. W téj ostatniéj godzinie były chwile, że rozmawiał z taką spokojnością, a nawet tak wesołą prowadził pogadankę, iż niektórzy koledzy jego, jak sami potém zeznali, mieli ufność, że może zaniecha postanowienia swojego. Był nawet tak dalece rozpustny, że dmuchnąwszy nosem, zgasił jednę z nie wielu świéczek, znajdujących się w pracowni. Miał on bowiem niejeden gminny zwyczaj, który częściéj, jak wypadało, wrodzoną godność jego nadwerężał. Ale nie mogło być inaczéj, stary wychowanek ulic paryzkich musiał koniecznie trochę ulicą trącić. Rozdawszy swoje drobiazgi, pożegnawszy się ze wszystkimi, uścisnąwszy rekę każdego, przerwał głosne gadanie, które tu i ówdzie w niektórych ciemnych kątach pracowni słyszéć się dało. Rozkazał być cicho i pracować, i wszyscy usłuchali go w milczeniu.

Pracownia, w któréj się to wydarzyło, była salą podłużowatą, równoległobokiem *(parallelogramme)* z oknami w obu wielkich ścianach, i z dwoma drzwiami w mniéjszych ścianach, na przeciw sobie położonémi. Warstaty stały przy ścianach u okien, ławki przypiérały w prawym kącie do muru, a próżne miejsce, zostawione między obu rzędami stołów, tworzyło długie przejście, ciągnące się w prostéj linii przez całą salę od jednych do drugich drzwi. Dyrektor, odbywając przegląd, musiał przechodzić przez ten dosyć ciasny przesmyk. Wchodził drzwiami od południa, a opuszczał salę stroną północną, w prawo i lewo pojrzawszy na robotników. Zwykle przechodził prędko, nie zatrzymując się wcale. Claude usiadł był znowu na ławce i udał się raz ostatni do roboty, jak niegdyś Jacques Clement * raz ostatni do modlitwy ukląkł. Wszyscy z natężeniem oczekiwali. Zbliżała się chwila — raptem zabrzmiał głos zégara. »To trzy kwadranse,« przemówił Claude i powstał, i poważnie przeszedł część sali i oparł się od niechcenia o róg piérwszego warstatu, po lewéj ręce, tuż na przeciw drzwi wchodowych. — Wybiła dziewiąta. Rozwarły się drzwi i wszedł dyrektor. W téj chwili panowała w pracowni głęboka cisza. Tylko dyrektor był takim, jak zwyczajnie. Wszedł z twarzą śmiejącą się, zadowoloną z siebie i nieczułą; nie spostrzegł Claudego, który wyprostowany stał po lewéj stronie drzwi,

* Jacques Clement, zabójca Henryka III. króla francuzkiego. Przyp. tłum.

trzymając prawą rękę w spodniach, i przeszedł prędko koło pierwszych stołów, kiwając głową, coś pomrukając pod nosem, tu i ówdzie poglądając, atoli nie postrzegając, że wszystkie wlepione weń oczy jedną okropną myślą napełnione były. Nagle obrócił się, słyszał bowiem kogoś idącego za sobą. Byłto Claude, który od kilku chwil szedł za nim milcząc. »Co tu robisz,« przemówił do niego dyrektor; »dla czego nie jesteś na swojém miejscu?« Claude odrzekł z uszanowaniem: »Chciałem mówić z panem dyrektorem.« — »O czém?« — O Albinie.« — »Czy znowu o nim!« zawołał dyrektor. »O nim i zawsze o nim!« rzecze Claude. »Jako!« wołał dyrektor, idąc daléj; »toż ci nie dosyć było, żeś siedział 24 godzin zamknięty.« — »Panie dyrektorze,« mówił Claude, postępując za nim, »oddaj mi, panie, mojego kolegę!« — »Niepodobna!« — »Panie dyrektorze,« zawołał Claude głosem, mogącym zmiękczyć szatana, »błagam cię, panie, powróć mi Albina! Obaczysz, jak będę wtedy pracował! Ty, panie, jesteś wolny, dla ciebie jestto rzeczą obojętną. Ty nie wiész, panie, co to jest przyjaciel; ale ja, ja nié mam nic więcéj, oprócz tych cztérech murów więzienia. Wćpan możesz odchodzić i przychodzić; ja miałem tylko Albina. Powróć mi go, panie, on mię żywił; wiész o tém. To cię, panie, tyle tylko kosztować będzie, że powiész d o b r z e! Cóż to będzie szkodzić, że w jednéj sali będzie człowiek imieniem Claude i jeszcze jeden, któremu Albin na imię? Nic w tém nie widzę złego. Panie dyrektorze, kochany panie dyrektorze, zaklinam wćpana na Imię Boga!«

Claude nigdy jeszcze zapewne nie mówił tyle do przełożonego więzień; zamilkł więc po takiém natężeniu zmordowany, dyrektor zaś odpowiedział z niecierpliwością: »Niepodobna, jużem raz powiedział. Nie mów mi więcéj o tém; nudzisz mię.« A spiesząc się coraz prędzéj, szedł naprzód; Claude postępował za nim. I gdy tak rozmawiali, przybyli obaj ku drzwiom wychodowym. Ośmiudziesiąt złodziejów patrzało na nich i słuchało ich, przytłumiając oddech. Claude uchwycił dyrektora zlekka za rękę. »Powiédz mi, panie, przynajmniéj« rzecze, »za co mnie na śmierć skazałeś. Powiédz mi, dla czego oddaliłeś go ode mnie?« — »Jużem ci to powiedział,« odparł dyrektor,« oto d l a t e g o.« I obrócił się tyłem do Claudego i wziął za klamkę ode drzwi.

Claude po téj odpowiedzi dyrektora cofnął się o krok. Ośmdziesiąt żywych posągów, téj scenie obecnych, widziało, jak prawą rękę dobył z toporem. Ręka podniosła się do góry, i nim dyrektor zdołał krzyk wydać, już trzy okropne cięcia toporem, wszystkie trzy z największą wściekłością w jedno miéjsce wymierzone, roztrzaskały mu czaszkę. W chwili, gdy na znak padał, czwarte cięcie twarz mu rozdarło na sztuki. Potém, bo raz rozsrożona wściekłość nie tak prędko ustaje, piątém uderzeniem rozpłatał mu Claude prawą nogę; lecz tego już nie było potrzeba — dyrektor już nie żył. Tu rzucił Claude krwawe narzędzie i zawołał: »Teraz bierzmy się do drugiego!« a tym drugim był on sam. Z kieszonki kamizelkowéj dobył nożyczek swéj kochanki i pchnął je sobie w piersi, wczém nikt mu nie przeszkadzał. Ale rękoiść była krótka, a pierś wypukła. Kilkakrotnie ponawiał pchnięcia. »Przeklęte serce, czyliż cię trafić nie mogę!« zawołał. Nareszcie, oblany krwią, padł bez przytomności. Przyszedłszy do siebie leżał w łóżku płótnami poobwiązywany. Nie brakowało około niego starania. Koło łoża krzątało się kilka sióstr miłosierdzia i znajdował się sędzia kryminalny, który, spisując protokuł, pytał go z niemałą troskliwością: N o, j a k ż e z d r o w i e t w o j e, p r z y j a c i e l u?

Claude utracił wiele krwi. Nożyczki jednak źle wykonały usługę; żadne pchnięcie niémi nie było niebezpieczne. Dla niego te tylko rany były śmiertelne, które dyrektorowi zadał. Rozpoczęły się badania. Pytano go, czy onto zabił dyrektora więzienia w Clairvaux? Odpowiedział: »Ja zabiłem.« Pytano go daléj: dla czego? Odpowiedział: »D l a t e g o?« Raz jednak pogorszyły się rany jego. Dostał gwałtownéj febry, która mu śmiercią zagrażała. Grudzień, styczeń i luty przeszły pośród bacznéj troskliwości i przygotowań. Lekarze i sędziowie cisnęli się do Claudego; jedni goili rany jego, drudzy przygotowywali mu szubienicę. Lecz opowiédzmy w krótkości:

Dnia 16. marca, wyleczony zupełnie, stanął przed sądem *assyzów* w Troyes. Całe miasto się zbiegło. Claude wystąpił z przy-

zwoitością przed sądem. Kazał sobie starannie ogolić brodę. Ubrany był w smutnych, szarych sukniach więźniów z Clairvaux, głowę miał obnażoną. Gdy już rozprawy sądowe rozpocząć się miały, pokazała się uderzająca przeszkoda. Żaden ze świadków zdarzenia z d. 4. listopada nie chciał świadczyć przeciw Claudemu. Prezydent zagroził karą, której był mocen użyć w tym przypadku. Nic to nie pomogło; lecz gdy Claude rozkazał mówić, wszystkie usta rozwiązały się. Świadkowie zeznali, co widzieli. Claude słuchał ich zeznań z największą uwagą. Jeźli który z zapomnienia, lub przychylności ku Claudemu, pominął szczegóły, mogące przeciw oskarzonemu świadczyć, uzupełniał je Claude. Z pojedyńczych zeznań świadków wykryły się przed sądem okoliczności, powyżéj przez nas opowiadane. Jedna mianowicie scena napełniła łzami oczy obecnych niewiast. Woźny sądowy przywołał więźnia Albina. Przyszła bowiem na niego kolej zeznawania. Chwiejącym się wszedł krokiem; szlochał gwałtownie. Żandarmowie nie uścigli wstrzymać go, tak prędko skoczył do Claudego i rzucił się w jego objęcie. Claude podniósł go i rzekł z uśmiéchem do prokuratora królewskiego: »Patrz, panie, oto jest zbrodzień, który chlebem swoim dzieli się z głodnymi!« Potém pocałował w rękę Albina. Wysłuchano wszystkich świadków. Prokurator królewski powstał i zaczął mowę swoję. Po niéj nastąpiła odpowiedź adwokata Claudego. Rozprawy za i przeciw szły koleją po sobie, jak jest zwyczajem w sprawach kryminalnych we Francyi. Claude wszakże był tego zdania, że jeszcze nie wszystko powiedziano. Prosił o głos i mówił w ten sposób, że wszyscy sprawie téj obecni zdziwieni zostali. Ubogi wyrobnik ten zdawał się być raczéj stworzony na mówcę, jak na zabójcę. Stał prosto. Głos jego był przenikający, a jednak stosownie użyty; spojrzenie czyste, jasne i z determinacyją; jesta zawsze prawie te same, a jednak nakazujące. Opowiedział wypadki, tak, jak się stały, ani ich zaostrzając, ani łagodząc; przyzwalał na wszystko, wprost się sprzeciwił artykułowi 296 ustawy karnéj, i poddał mu głowę swoję. Niekiedy głos jego był prawdziwie krasomowczy, a wtedy widać było poruszenie po między ściéśnionym tłumem ludu, i jeden drugiemu słowa Claudego powtarzał. W takich chwilach powstawał szmer po między zgromadzonémi, a wtedy Claude, rzucając po słuchaczach dumne spojrzenie, oddechał zmordowany. W innych chwilach znowu mowa tego człowieka, który nawet czytać nie umiał, była delikatną, czystą, wyszukaną, gdyby autora jakiego; w niektórych miéjscach była skromną, niejako wyrachowaną, na wszystkie strony uważną, krok w krok wchodzącą w szczegóły rozpraw sądowych, przyjazną względem sędziów. Raz tylko wybuchnął gniewem. Prokurator królewski twierdził podczas rozpraw kryminalnych, że Claude zabił dyrektora warstatów nie doznawszy od niego uprzednich gwałtowności, oraz bez dostatecznego powodu. »Jako!« zawołał Claude w gniewie, »nie miałżem powodu! Lecz w samej istocie, masz wćpan słuszność, rozumiém go. Pijany człowiek bije mię, ja bijąc go na wzajem, zabijam; miałem powód. Panowie względnie postępujecie ze mną i posyłacie mię tylko na galery. Ale człowiek, który nie był pijany, i który owszem był zupełnie przy rozumie, ten przez całe cztéry lata udręcza mi serce, co godzina, co minuta, przez wszystkie cztéry lata zadaje mi niespodziéwane rany! Miałem kobiétę, którą kochałem, dla któréj ukradłem, on mię prześladuje tą kobiétą! miałem dziecko, dla którego ukradłem, on mię prześladuje tém dzieckiem! Nie miałem dosyć chleba, przyjaciel dzielił się ze mną chlebem; on wziął mi przyjaciela i chléb mój! Błagam go, ażeby mi oddał przyjaciela, on mię zamknąć kazał! Powiadam mu, że ciérpię na tém, on mi odpowiedział, że go nudzę! Powiédzcie sami, co miałem czynić? Musiałem go zabić. Prawda, że jestem potworą, że zabiłem człowieka, że nie miałem powodu. Utniecie mi głowę; zróbcie to!«

Ukończono rozprawy sądowe. Prezydent wystawił rzecz całą w jasném i bezstronném świetle. Głównémi punktami jego przeglądu sprawy były te uwagi: Haniebne życie; prawdziwy potwór; Claude już złém rozpoczął, bo żył bez ślubu z publiczną niewiastą; potém ukradł; w końcu zabił. I wszystko to było w istocie prawdą. Przed odejściem sędziów przysięgłych na ustęp

zapytał się prezydent obżałowanego, czy nie ma jeszcze zrobić jakiéj uwagi? »Mam tę tylko zrobić uwagę,« odrzekł Claude: Byłem złodziejem, byłem zabójcą, to prawda; ale dla czego ukradłem, dla czego zabiłem? Nad témi dwoma pytaniami zastanówcie się, panowie przysięgli.« Po cztéro-godzinnéj naradzie i w skutek głosowania dwunastu sędziów przysięgłych został Claude na śmierć skazany. Przypadkiem, w początkach rozpraw, dziwnie uderzyło to sędziów, że obżałowany nazywa się *Gueux* (to jest: żebrak) i zrobiło to głębokie na nich wrażenie. Claude usłyszawszy wydany na siebie wyrok rzekł tylko: »Dobrze! Ale dla czego ten człowiek ukradł, dla czego zabił, na te dwa pytania nie odpowiedzieli oni.«

Wróciwszy do więzienia wesoło pożywał obiad i rzekł: »Odbyłem trzydzieści sześć lat, pełnych goryczy.« Nie chciał prosić o kasacyją wyroku. Siostra miłosierdzia, która pielęgnowała go w czasie słabości, przyszedłszy do niego, prosiła go o to ze łzami w oczach. Pełniąc jéj żądanie apelował. Do ostatniéj jednak chwili naznaczonego terminu wahał się jéj żądaniom uczynić zadosyć; bo gdy próżbę o kasacyją wyroku podpisał, prawny trzech-dniowy termin już był od kilku minut upłynął. Siostra miłosierdzia darowała mu z wdzięczności pięć franków. Wziął pieniądze i podziękował jéj. Podczas gdy na skutek appelacyi oczekiwał, więźniowie w Troyes, którzy mu wszyscy przychylni byli, czynili mu kilkakrotnie propozycyją, że mu ułatwią sposobność do ucieczki. Nie przyjął ich propozycyi. Więźniowie wrzucili do jego lochu, przez otwór do wpuszczania powietrza, to goździe, to kawał drutu żelaznego, to hak. Każde z tych trzech narzędzi w rękach takiego człowieka, jak Claude, było dostateczne do przepilowania kajdan. Hak, drut żelazny i goździe oddał dozorcy więzienia. Dnia 8. czerwca r. 1832, to jest: w siedm miesięcy i cztéry dni po zbrodni, nastąpić miała kara. Dnia tego, o godzinie 7méj z rana, wszedł urzędnik trybunału do więzienia Claudego i obwieścił mu, że tylko godzinę jeszcze żyć ma. Prożbę o kasacyją wyroku odrzucono. »Spałem téj nocy dobrze,« ozięble odpowiedział Claude, »i nie przeczuwałem, że dzisiejszéj nocy jeszcze lepiéj spać będę.« Słowa ludzi z tęgim duchem zdają się przed śmiercią przybierać zawsze pewną wielkość. Nadszedł ksiądz, a potém kat. Claude był pokorny dla księdza, a łagodny dla kata. Zachował ciągle zupełną moc ducha. Gdy mu włosy obcinano, ktoś w kącie więzienia przemówił o cholerze, która właśnie zagrażała miastu Troyes. »Ja« odrzekł Claude z uśmiechem, »ja się nie boję cholery.« Z natężoną uwagą słuchał przemowy księdza i czynił sobie wyrzuty, oraz ubolewał mocno, że nie pobiérał nauk religijnych. Na żądanie oddano mu nożyczki, któremi dawniéj chciał się był zabić. Nie miały jednego końca, bo wtedy ułamały się były, gdy się niémi przebijał. Upraszał dozorcy więzienia, by nożyczki te imieniem jego oddał Albinowi. Prosił także, ażeby do téj puścizny dodano porcyją chleba, którą miał dostać dnia tego. Tych, co mu ręce związywali, upraszał, ażeby mu włożyli w prawą rękę te pięć franków, które miał w darze od siostry miłosierdzia, jedyne pozostałe mu jeszcze mienie. O trzy kwadranse na ósmą opuścił więzienie w orszaku, zwyczajnie skazanych na śmierć otaczającym. Szedł piechoto, oblicze jego było blade, wzrok martwo w krucyfiks księdza wlepiony, ale krok jego był pewny. Powoli wstępował na rusztowanie, mając ciągle wlepione oczy w krucyfiks Zbawiciela. Chciał najpród księdza, potém kata uściskać, jednemu dziękując, drugiemu przebaczając. Twierdzą niektórzy, że kat odtrącił go z lekka od siebie. W chwili gdy go oprawca do okropnéj przywiązywał machiny, dał znak księdzu, ażeby wyjął z jego ręki pięć franków i dał je ubogim. Ponieważ w téj chwili biła właśnie godzina ósma i dźwięk zégara zagłuszył głos jego, spowiednik zatém nie zrozumiał jego żądania. Claude milczał, póki zégar bić nie przestał, a potém raz jeszcze powtórzył: »Proszę dać ten pieniądz ubogim.« Jeszcze nie całkiem przebrzmiał dźwięk godziny ósméj, gdy ta dumna i roztropna głowa spadła z karku. — Tego samego dnia, lubo machina, odbierająca życie, gorąca i krwią zbroczona, stała jeszcze, powstało zbiegowisko po między ludźmi na targu, z powodu kłótni, mającéj styczność z akcyzą, i omało nie zabito urzędnika konsumcyjnego.

Zdawało nam się, że potrzeba było opowiedzieć z wszelkiémi szczegółami historyją Claudego, ponieważ, takie przynajmniéj nasze zdanie, wszystkie paragrafy téj historyi służyćby mogły za godła do rozdziałów księgi, w któréj usiłowanoby rozwiązać wielkie problema wieku dziewietnastego. W życiu Claudego potrzeba dwie epoki rozróżnić, przed jego upadkiem i po upadku. W obu tych epokach dwa zachodzą pytania, jedno co do wychowania, drugie co do kary, a między obu témi pytaniami znajduje się cala społeczność ludzka.

Claude był od natury dobrze ukształcony i dobrze uposażony. Czegoż mu więc brakowało? Nad tém się zastanówmy. To więc jest owo wielkie problema, którego dopiéro uskutecznić się mające rozwiązanie wystawi tę powszechną zasadę: że społeczność ludzka powinna dla członka swojego zawsze tyle zrobić, co natura zrobiła.

Patrzmy na Claudego! Miał dobrą głowę, dobre serce, co wątpliwości nie podpada; los atoli w tak złe rzuca go towarzystwo, że w końcu kraść musi. Społeczność ludzka w tak złém osadza go więzieniu, że musiał koniecznie stać się zabójcą. Któż istotnie winien temu, czy on, czy my?

Są to groźne, dotkliwe zapytania, które w téj chwili brzmią głośno po świecie, które są nieustannie do naszych jestestw przykute, i które w końcu tak nas uwikłają sobą, że będziemy musieli zastanowić się nad niémi i koniecznie wybadać, czego one od nas żądają.

OPADANIE LIŚCI.

(Z francuzkiego Millevoye.)

Wicher jesienny zarzucił
Ziemię drzew naszych odzieniem,
Gaj nie był tajnic schronieniem,
Słowik swych pieśni nie nucił.
Konający w wieku wiosnie
Młodzieniec smutny, schorzały,
Zwiedzał raz jeszcze żałośnie
Gaje, co go dzieckiem znały:
»Żegnam cię, o lasku luby!
»Twa postać wróżbą méj zguby,
»A każdy listek, co spada,
»Śmierć mi blizką zapowiada.
»Wyto Epidauru wieszcze
»Strasznym rzekliście wyrokiem:
»»Drzew liście z-żółkną raz jeszcze,
»»Raz ostatni przed twém okiem
»»Cyprys cię otoczył w koło,
»»Bledszy, niż jesieni czoło;
»»Wkrótce oddasz dług naturze,
»»Twa młodość wkrótce przeminie,
»»Prędzéj, niż trawka w dolinie,
»»Niżli winny liść na górze. —««
»I już konam; zimne tchnienie
»Czarnéj śmierci mnie owiało,
»Widzę, niby marne cienie,
»Niknącą mą wiosnę całą.
»Spadaj, spadaj liściu blady,
»Zakryj oku smutne ślady;
»Niech nie znajdzie méj mogiły
»Rozpacz jutro matki miléj;
»Lecz jeżeli w to ustronie,
»Gdy dzień w głuchéj nocy tonie,
»Halina z popsutym włosem,
»Przyjdzie płakać nad mym losem,
»Zbudź lekkim szmerem na chwilę
»Cień mój pocieszony mile.«
Rzekł, odszedł, więcéj nie wrócił;
Liść ostatni, co wiatr zrzucił,
Dzień mu ostatni obwieścił.
Dąb smutném zwłok był schronieniem.
Lecz próżną się myślą pieścił:
Nie płynęły łzy Haliny
Nad skromnym żalu kamieniem,
I tylko pasterz z doliny
Przez kroków swoich tętnienie,
Grobu przerywał milczenie.

Ap. Tomkowicz.

DOŚWIADCZENIE
Z PALIWEM W GORZELNI PAROWÉJ.

(Nadesł.)

Najlepsza rzecz źle wykonana lub źle utrzymana zachwieje zdanie sądzącego. Takiémi są warstaty parowe, w mojém dziele wskazane, a niedokładnie wykonane. Gorzelnia w Strusowie, w Żurawnikach i kilka innych dowodzą swoją niezmiennością od czasu postawienia, jak były wykonanémi i jak są utrzymywane. Do warunków dobréj gorzelni należy, pomiędzy innémi, opał, który, źle kierowany, sprowadza koszta i fałszywe sądzenia o rzeczy. Doświadczałem przez dwa lata, że na ugotowanie i wypędzenie 20 korcy kartofli potrzebowano pod kocieł parowy, trzy-łokciowéj długości z dwoma rurami, drzewa dębowego jednorocznego codzień jeden sążeń austryjacki, to jest: polana 1 1/2 łokcia długości, ułożone 3 łokcie szeroko i 3 łokcie wysoko. Cała czynność jednym kotłem odbyła się w 11 do 12 godz. Tego roku, mając drzewo bukowe trzyletnie, potrzeba było do téj saméj czynności na 7 dni 4 sążnie austryj.

W ciągu czasu tego odbyły się jeszcze trzy warki piwa po cztéry beczki. W tym stosunku wypada, że kocieł parowy, cztéry łokcie długi, potrzebować powinien takiego drzewa 5/8 do 6/8 sążnia, a kocieł parowy, 5 łokci długi, najwięcéj jeden sążeń austryj. dziennie. Do kotłów parowych w młynie warszawskim używają drzewa sosnowego, łupanego na polana 6 cali szérokości, a 18 cali długości, i jeden kocieł obraca cztéry kamienie, 3 łokciowéj szérokości. Wszystkie kotły z małém palowiskiem, do którego tylko drobne drzewo włazi, jeżeli jaką oszczędność względem parowych kotłów okazują, to jedynie dla tego, że drobném i łatwiéj zajmującém się drzewem są opalane. Jeżeli zatém w któréj gorzelni parowéj więcéj drzewa wychodzi, to można to przypisać albo złemu zamurowaniu kotła, co łatwo poznać, jeżeli pędzenie przy otwartych drzwiczkach palowiska odbywać się musi, i płomień czasem drzwiczkami do komina wychodzi; albo, że gorzelnik, dogadzając lenistwu usługujących, także przez źle zrozumianą oszczędność, żeby drzewa nie łupać, kładzie 3 łokciowe grube, a często okrągłe polana. Cała zatém sztuka obchodzenia się z kotłem parowym jest następująca:

1) Mnożyć wiele płomienia małą ilością drzewa, co tylko suchém i drobném uskutecznić można.

2) Podczas palenia drzwiczki do palowiska mieć zamknięte, a do popielnika otwarte.

3) Co tydzień, a lepiéj codzień chędożyć kanały boczne i rury, przez kocieł przechodzące.

4) Na noc zamykać wszystkie drzwiczki od luftów i od pieca, ażeby przeciąg powietrza nie oziębiał kotła.

5) Skoro woda żółta, t. j: przepalona pokazuje się w rurze szklannéj, to potrzeba upuścić wody spodniéj część jaką, i nową czystą dopełnić kocieł.

Dobrze zamurowany kocieł ugotuje kartofli jedném narzuceniem drzewa. Odpędzenie jednego kotła potrzebuje dwóch narzuceń, a zatém pięcia narzuceniami odbędzie się cała czynność w gorzelni. W nowém wydaniu mojego dzieła wyjdzie opisanie i rozbiór różnych tu w Galicyi istniejących warstatów, z porównaniem wszelkich z ich składu wynikających korzyści. D. 11. listopada 1834.

KASPEROWSKI.

— Ze Lwowa. —

W Pradze wyszło w r. b. następujące, dla wszystkich Sławian ciekawe dzieło: »**Dobrowskiego Sławin**, poselstwo z Czech do wszystkich narodów sławiańskich, czyli dodatki do ich charakterystyki, do nauki o ich mitologii, historyi i archeologii, ich literatury i filologii, według wszystkich narzeczy;« drugie poprawione i pomnożone wydanie, uskutecznione przez Wacława Hankę. Z 6 w części kolorowanemi rycinami i 3 *fac similami* najdawniéjszych pomników literatury polskiéj.

Podczas festynu muzycznego, dawanego w Wiédniu przez towarzystwo przyjaciół muzyki d. 6go i 9go b. m. na cześć imienia Najj. Cesarzowéj Jéjmości, na którym wystawiono oratoryjum Händla: *Belzazer*, liczba wykonywujących muzykę składała się z następujących osób: Dyrygował pan J. Weigl, c. k. wice kapelmistrz nadworny. Partyturę odczytywał pan Jan Schmiedel, c. k. kancelista nadworny: Przy fortepianie był pan J. Gänsbacher, kapelmistrz archikatedralny. Piérwsze skrzypce: pan G. Hellmesberger, dyrektor orkiestry c. k. nadwornego teatru-opery i członek c. k. kapeli nadwornéj. Drugie skrzypce: pan M. Gauster, c. k. taxator nadworny. Głosy pojedyncze *(solo)* w śpiéwie: Nitokrys: pani Kraus-Wraniczka, c. k. śpiewaczka nadworna. Cyrus: panna Karolina Honig. Belzazer: pan M. Lutz, członek c. k. nadwornéj kapeli. Daniel: G. Reggla. W chorach pomagało: *sopranem* 130 osób, *altem* 121, *tenorem* 126, a *basem* 150 osob. W orkiestrze było piérwszych skrzypców 59, drugich 59, wioli 40, wiolonczel 40, kontrabasów 30, fletów 12, oboi 12, klarynetów 12, fagotów 12, waltorni 12, kontrafagotów 4, trąb 6, puzanów 6, kotłów 3. Ogółem wszystkich osób, należących do tego festynu muzycznego, było 843!

Księgarnia J. Wenedykta w Wiedniu jest jedną z największych w téj stolicy, posiada bowiem do 10,000 tomów najnowszéj literatury wszystkich języków, a mianowicie wielką ilość dzieł we wszystkich narzeczach sławiańskich. Jéj zawiadowcą jest W. G. Dunder, który sam także godnie się piśmiennictwem zajmuje. Na »Zbiór poematów bohaterskich Dalmacyi,« których wydanie ogłosił, liczy już blizko 1100 przedpłacicieli. O drugiém jego wyjść mającem dziele: *Lexicon universale librorum Slavicorum* i t. d. wspomnieliśmy nie dawno.

Z Warszawy. Opuściło już prasę dawno zapowiedziane dzieło we 2ch tomach: »Botanika dla płci pięknéj, czyli historyja drzew, ziół i kwiatów, podług Pi. Genlis i P. Malo, przez Adama Podymowicza, magistra filozofii, z rycinami. W drukarni P. Baryckiego. — Pod redakcyją Kajetana Lubicz Niezabitowskiego wyjdzie: Nowy polski, ruski, astronomiczno-gospodarski kalendarz powszechny, na wzór tego rodzaju zagranicznych, i obejmować będzie użyteczne wiadomości w przedmiotach rozmaitéj osnowy, do których udzielenia wezwano wielu uczonych mężów. Powierzchowność kalendarza tego ma być równie ozdobna, jak jego skład wewnętrzny treściwy. — Kalendarz rolniczy Jana Nep. Kurowskiego na r. 1835 wyszedł już z druku.

Z Wilna. Noworocznik tutejszy Znicz zapowiedziany jest także na r. 1835 — Wyszła trzecia edycyja dzieła: Ogrody północne, przez Józefa Strumiłła, poprawna i pomnożona do dwóch tomów, z ośmią tablicami litografowanemi.

Z Lipska. Zapowiedzianego dzieła: Biblijoteka kieszonkowa klasyków polskich, wydania Jana Nep. Bobrowicza, wyszły tu u Breitkopfa i Haertla tom piérwszy i drugi, obejmujące: »Poezyje Ign. Krasickiego.«

Śpiéwy historyczne J. U. Niemcewicza wyszły w Lipsku r. 1833, metrycznie przerobione na język niemiecki przez Fr. barona Gaudy. — Tłumacz opuścił niektóre śpiéwy, mniéj poetycznéj wartości mające, a zatém mniéj mogące zająć czytelników niemieckich.

W Nr. 277 pisma *Blätter für litterar. Unterhaltung* z r. b. wspomniano nader pochwalnie o Wyborze pism Klementyny z Tańskich Hofmanowéj, podług wydania wrocławskiego, w dziesięciu tomach objętego. Recenzent nazywa autorkę tę polską Genlis. Zgadzamy się z jego zdaniem, że w powieściach jest najszczęśliwszą. Trudno bowiem z większą prostotą opowiadać zdarzenia, a jednak do takiego stopnia zajmować czytelnika, ażeby z rozkoszą przebiegał każdą stronicę, a z tęsknotą rozstawał się z każdą powieścią.

Słynny autor Leonard Chodźko ożenił się w Paryżu z panną Maliszewską, córką zmarłego tamże nie dawno dziejopisarza, urodzoną z Francuzki.

Czciciele Szyllera w Niemczech zamyślają wystawić w ojczyźnie swojéj pomnik temu wielkiemu poecie, do którego znakomity rzeźbiarz Thorwaldson obiecał rys wygotować. Wezwano przytém wszystkich autorów niemieckich, by nadsyłali piśmenne, przez siebie ułożone i sławiące Szyllera poświęcone pamiątki, z których utworzy się imionnik, mający być drukiem ogłoszony, rękopisma zaś oryginalne tych pamiątek złożone zostaną w kamieniu węgielnym pomnika. Księgarnie J. G. Cotty i J. B. Metzlera w Stuttgardzie przyjmują te pamiątki tylko do 1. stycznia r. 1835, wezwano także damy niemieckie do zbiérania składek na wystawić się mający pomnik.

W Rocznikach Dorpackich znajdują się listy z Syberyi niejakiéj baronowéj Wrangell. Ciekawe w tych listach jest opisanie przedstawienia opery chińskiéj w Majmatszynie.

Opera ta dawana była pod gołém niebem i podczas zimna 23. stopni. Orkiestra była na scenie, a aktorowie z wielkim zapałem grali. Po bokach sceny stały dwa kociełki z zarzącemi węglami, przy których muzykanci gotowali ciągle herbatę i takową popijali; tym sposobem ogrzéwali się i pokrzepiali w okropném zimnie. Aktorowie i śpiéwacy, zeszedłszy ze sceny, śpieszyli także natychmiast do tych kociełków. Wszystko to odbywało się w oczach widzów.

O bawiącéj teraz w Paryżu tancerce wiedeńskiéj, pannie Fanny Elsler, pisze pewne pismo tamtejsze: »Tancerka ta robi takie trele nogami, jak Paganini na skrzypcach. Miasto kalafonii używa kredy do podeszew swoich trzewików, jeżeli podłoga za śliska.«

Gazety francuzkie opisują następujące zdarzenie, które spotkało w Toskanie sławną śpiewaczkę, panią Malibran: Śpiewaczka ta zmuszona była jechać przez miasto Arezzo. O przejeżdzie téj wielkiéj artystki gruchnęła wkrótce wieść powszechna i cała ludność miasta wyruszyła na jéj przyjęcie. Mnóstwo ludzi udało się na pocztę z żądaniem, ażeby artystce do dalszéj podróży nie dawano koni, bo artystyczny i uniesiony dla sztuki lud Toskany nie chciał, ażeby mówiono, iż pani Malibran przejeżdżała przez jego miasto, nie dawszy się słyszeć z swym głosem. Postanowił zatém przemocą żądać śpiewu od artystki. Pani Malibran umyśliła z początku, nie słuchać głosu przemocy, ale dano jéj do zrozumienia, że, gdy śpiéwać nie będzie, koni nie dostanie. Jadący konno towarzysz artystki, używał całéj wymowy swojéj, by skłonić ją do uległości, co gdy nie pomogło, chciał sam być dla niéj dobrym przykładem, i wydobywszy skrzypce z futerału rozpoczął preludyja. Po pierwszych zaraz akordach dał się słyszéć pomiędzy zgromadzonemi wyraz podziwu i zachwycenia. Tym skrzypkiem był sławny Beriot. Uniesienie, z jakiem ten wielki artysta improwizował, wreszcie ów sympatyczny zapał zachwyconego ludu, wszystko to tak dalece działało na wyobraźność śpiewaczki, że, podniosłszy się w koczu, zaśpiéwała jednę z najpiękniejszych aryj. Powszechnie zachwycano się jéj śpiewem i lud, który przed chwilą nie chciał jéj dać koni, omało sam się nie zaprzągł do powozu i nie pociągnął artystki. Odjechała pośród tysiącznych oklasków. Może już z cztery mile była za miastem, a jeszcze w powietrzu rozlegał się odgłos: *Viva la Malibran!*

Łóżka żelazne są teraz w modzie w Paryżu i w każdym prawie eleganckim domu znajdują się takowe. Łączą smak dobry z czystością i zabezpieczają od plugawego robactwa. Damy najpiérwszego tonu sypiają na żelaznych łóżkach.

Pewien młody włościanin pokazuje właśnie w Paryżu dwie ułaskawione żaby, które na głos dudy tańczą w takt galopady i walce.

W przeszłym numerze pisma naszego wspomnieliśmy o poświęceniu w Rouen pomnika dla Kornella. Teraz dodajemy do owych szczegółów następujące jeszcze wiadomości: Dnia 18. paźdz. umieszczony został pomnik ten na podstawie. D. 19. już od 10téj godz. z rana zgromadzał się na około pomnika niezliczony tłum ludu, między którym znajdowało się kilka deputacyj, wysłanych w tym celu do Rouen od różnych naukowych i artystycznych zakładów. Koło południa rozpoczęła się uroczystość muzyką. Zasłona, okrywająca pomnik, spadła; okrzyk: Niech żyje Kornell! zabrzmiał po powietrzu. Pan Desligny, prezydent lugduńskiego naukowego towarzystwa, zabrał najprzód głos dla uczczenia Kornella. Podobne mowy mieli także pp. Lebrun, dyrektor akademii francuzkiéj, Alex. Dumas, imieniem komisyi dramatycznéj, Emanuel Guillard, dożywotni sekretarz roneńskiéj akademii nauk, i Lafon w imieniu komedyi francuzkiéj. W końcu oznajmił pan Lebrun, że król potomkom Kornella (których jest cztery) wyznaczył pensyi 2,000 frank. Uroczystość skończyła się wystawą *Cynny* w teatrze.

Europa ma wszystkich długów stanu 21,000,000,000 złr. m. k., od których procentów po 4 od sta opłaca 480,000,000 złr. Oprócz tego jest w obiegu 600,000,000 pieniędzy papierowych. Od r. 1815 zaciągniono w Europie pożyczek za 7,563,830,870 złr., a zatém od czasu powszechnego pokoju wzrósł więcéj, jak o trzecią część europejski dług stanu.

Gazeta Lipska donosi z Drezna pod d. 20. paźdz: »Profesor Krug z Lipska zrobił wniosek sejmowi saskiemu, ażeby w Lipsku założony został przy uniwersytecie wydział katolicko-teologiczny, lecz nie przyjęto tego wniosku. Starał się tę uwagą popiérać swój wniosek, że Saxonije ma teraz samych tylko zagranicznych i za granicą ukształconych katolickich księży, gdy tymczasem w kraju wychowywani księża lepiéj pełnićby mogli włożone na siebie od rządu i stanów obowiązki. Żaden z katolickich kościołów w Saxonii nie posiada własnego majątku.«

Z pomiędzy różnych anegdot, które o ostatnim wielkim pożarze gmachów parlamentowych w Londynie opowiadają, wyszczególnia się mianowicie następująca, w dziénnikach angielskich umieszczona: Lord Brougham doznał tego dziwnego przypadku, że w pożarze onym podwójną poniósł stratę. Jego peruka urzędowa, którą zwykle nosił w izbie wyższéj, zgorzała w gmachu lordów, a jego peruka sędziowska *(his judicial wig)* w kancelaryi urzędu sądowego. Czy tylko zniszczenie tych obu symbolów powagi urzędowéj i mądrości lorda nie będzie jaką nieszczęśliwą przepowiednią dla tego zacnego ministra?

W Nowéj-Holandyi zrobiły wniosek osady angielskie, ażeby na przyszłość wolno było kobietom, równie jak mężczyznom, mieć udział w sztukach i rzemiosłach, a jeźli z czasem staną się artystkami lub mistrzyniami rzemiosł, ażeby za takich szły mężów, którzyby za nie trudnili się gospodarstwem domowém, szyli, robili pończochy, gotowali jeść i kołysali dzieci.

Pewien mechanik w Londynie wynalazł machinę do robienia pończoch, która odbywa ruch, jak kołowrot, a za pomocą któréj nawet czteroletnie dziecko może w krótkim czasie najpiękniéjsze robić pończochy.

Balsam mekański. Sławny ten balsam pochodzi z drzewa balsamowego Mekki *(amyris gileadensis)* i takie z prostego drzewa balsamowego *(amyris opobalsamus)*. Turcy przypisują wielką wartość balsamowi mekańskiemu, ponieważ jest nie tylko na wiele chorób pomocny, ale oraz, rozpuszczony w wodzie i używany do mycia, robi delikatną skórę na ciele. Balsam ten znajduje się tylko w ścisłym okręgu Mekki i tak powoli wypływa, że drzewo z jednéj rany zaledwo na dzień 3 do 4 kropel wysączy. Ćwierć łuta tego balsamu kosztuje w saméj Mece dwa talary. W naszych aptékach znajduje się tylko *opobalsam*, czyli balsam prosty. Z trzeciego rodzaju drzewa balsamowego, zwanego *kataf*, pochodzi *myrra*.

Śmieszny tytuł książki. W biblijotece imienia Ossolińskich wpadła mi do ręki następująca książeczka, któréj tytuł dla osobliwości i zabawy czytelników wypisuję: *Połów herbownego dzika JO. domu Denhoffowskiego, rospuszczonym niegdy cnót, pobożności i wysokiego urodzenia myślistwem, a teraz chyżą lotnobieżącéj śmierci charcicą w osobie Jaśnie-przewielebnego Jegomości JX. Alexandra Denhoffa, Opata Jędrzejowskiego, J. K. Mości Sekretarza, aż na Jasną górę Częstochowską dognanego, na ulżenie bolejącym wrodzonego żalu sercom, wyprawiony od X. Tobiasza Czechowicza, zakonu S. Pawła pierwszego pustelnika, SS. teologii professora. W Krakowie w drukarni wdowy i dziedz. Krzysztofa Schedla J. K. M. typografa*, w 4ce, bez roku, kart nieliczb. 18, druk gocki. — Ten dziwotwór literacki jestto kazanie pogrzebowe. S. P.

REDAKTOR, MIKOŁAJ MICHALEWICZ. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.